

Wywiad z Jackiem Maziarskim

Maziarski: Ktoś z Solidarności też może być nieuczciwy

Jacek Maziarski, dziennikarz i były polityk, wspomina w DZIENNIKU początki wolnej Polski, mówi o walce „Gazety Wyborczej” z „Tygodnikiem Solidarność”, sporach z Lechem Wałęsą, swej miłości do Jarosława Kaczyńskiego, rewelacjach Anastazji Potockiej i synu z przeciwnego obozu ideowego.



ROBERT MAZUREK: Porozmawiajmy o miłości. Kocha pan jednego Kaczyńskiego czy wszystkich?

JACEK MAZIARSKI: Na pewno Jarosława (śmiech). To człowiek o wielkim sercu, niebywała osobowość.

Lecha?

Mniej się znamy.

Bogusława?

(śmiejąc) W ogóle nie znam. Z Jarkiem byłem w bardzo bliskich stosunkach, chociaż, szczerze mówiąc, nie wszystko o nim wiem, bo on z nikim nie utrzymywał – i nie sądzę, by to się zmieniło – stosunków na tyle przyjacielskich, żeby przyjmować kogoś u siebie w domu.

Rozmawialiście tylko o polityce?

Przeważnie. Rzadko rozmawialiśmy o sprawach prywatnych. Darzyliśmy się, i chyba nadal darzymy, ogromnym zaufaniem, ale nigdy nie przerodziło się ono w bardzo bliski związek towarzyski. To bardzo ciepły i serdeczny człowiek, który jednocześnie nie prowadzi życia prywatnego.

Dlaczego?

Bo jego całe życie to polityka. Jest jej oddany do szpiku kości. Ma kota, który stanowi namiastkę życia prywatnego. I tyle. Ja go rozumiałem bardzo dobrze, bo też byłem człowiekiem, który kiedyś zagrzebał się po uszy w polityce i nie potrzebował jakiejś płaszczyzny prywatnej.

To niemożliwe. Ludzie muszą mieć potrzeby prywatne. Co, poza pójściem do kościoła, można robić w niedzielę rano?!

ie wiem, jak wyglądał ten czas u Jarosława Kaczyńskiego. Albo poświęcał go na życie rodzinne z mamą i żyjącym jeszcze wtedy tatą, albo prowadził jakąś działalność organizacyjną czy filantropijną. Mało kto wie, ale Jarek jak tylko miał jakieś pieniądze, to zawsze rozdawał je biedniejszym, choć nigdy nie lubił się tym chwalić. A może w te niedzielne poranki czytał książki? Bo to przecież nieprzeciętny erudyta.

Ma jakieś ludzkie cechy?

Mało kto w to wierzy, ale Kaczyński ma ogromne poczucie humoru. Także na swój temat. Śmieje się ze swojego zamiłowania do kotów, ze swojej naiwności, starokawalerstwa, wzrostu i

bałaganiarstwa. To człowiek, który ma dystans do siebie.

Jakoś trudno w to uwierzyć.

Bo on się trudno otwiera. Dlatego niewielu go zna, więc mało kto wie, jaki jest naprawdę. Gdy natomiast pozna kogoś blisko, to zaczyna się atmosfera bardzo serdeczna. Myśmy w kancelarii Wałęsy przejęli sekretarki po ekipie komunistycznej. Jarek długo nie mógł się przekonać do jednej z nich, Basi Skrzypek, ale gdy już się przekonał, to się z tego wywiązała głęboka, autentyczna przyjaźń. Oczywiście, nie ma w tym żadnych podtekstów.

Pan potrafi go tylko chwalić?

Jasne, że ma też wady. Nie jest w końcu aniołem. Ciągłe coś mu trzeba przypominać. Gdy mu nikt nie zwróci uwagi, to się zapuści. Założy byle co, nie pójdzie do fryzjera. Mógłbym wyliczać dalej, ale po co? To przecież normalne.

Jak pan trafił do „Tygodnika Solidarność”, którego naczelnym był Kaczyński, a zastępcami pan, Krzysztof Czabański, Andrzej Urbański?

Kiedy jesienią 1989 roku Mazowiecki został premierem, kolejnym naczelnym „Tygodnika” Wałęsa mianował Jarka Kaczyńskiego, który zaproponował mi stanowisko zastępcy. Zgodziłem się na to głównie z przyjaźni. Wkurzył mnie rozkręcany przez „Gazetę Wyborczą” bojkot w środowisku dziennikarskim. Szantażowano i zastraszano ludzi, którzy zgodzili się pracować z nowym naczelnym. To było obrzydliwe.

Kto naprawdę kierował tygodnikiem?

Z tym akurat nie było problemu. Ludzie sami wiedzieli, co pisać, tematów nie brakowało. W takich warunkach pismo toczy się samo. Dokuczał tylko nadmiar materiałów i trzeba je było ciosać. Ciosałem ja, Urbański i Czabański. Na końcu decydował Kaczyński, ale trzeba było pilnować, żeby to zechciał

przeczytać.

Był typem koszmarnego szefa, który się wtrąca w ostatniej chwili i wszystko psuje?

Nie. Raczej trudno było go złapać.

Cenzurował?

Interweniował tylko wyjątkowo, w sytuacjach, o których mogliśmy nie wiedzieć. To był czas delikatnych, podjazdowych wojen z Wałęsą.

Pan był najwaleczniejszym z pretorian Kaczyńskiego.

Chyba rzeczywiście, bo zawsze miałem temperament polemiczny. Od początku wiedzieliśmy, że toczy się ważny spór polityczny. Głównym przeciwnikiem był Michnik i jego otoczenie – baliśmy się, że po wyjściu z komunizmu stworzą nowy system jednopartyjny z komitetami obywatelskimi zamiast normalnej demokracji. Wtedy powstało Porozumienie Centrum, pierwsza – jeśli nie liczyć KPN, która funkcjonowała na innych prawach – partia polityczna w Polsce. Wywołaliśmy wściekłość tamtego obozu z „Gazetą Wyborczą” na czele.

Byliście dziennikarzami czy politykami?

Z jednej strony co tydzień wydawaliśmy gazetę, a z drugiej „Tysol” rzeczywiście stał się trampoliną rozwoju PC, tam się ono wylęgło.

Został pan kimś w rodzaju sekretarza generalnego tej partii.

A wcześniej przez kilka tygodni byłem podsekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta. Ani razu jednak nie spotkałem się z Wałęsą, bo kontakty z nim zmonopolizował Wachowski, a ja nie miałem zamiaru chodzić na spotkania z kapciowym.

Tym ministrem długo pan nie był.

Nie zdążyłem się nawet przyzwyczaić do tytułu. Wciąż jeszcze

poruszałem się swoim maluchem, do którego byłem bardzo przywiązany, a który miał wtedy chyba ze 14 lat. Wjechałem nim kiedyś na podwórko kancelarii, na Wiejską, podchodzi do mnie borowiec i pyta: „A dokąd?”. Ja na to, że tu pracuję. A on: „A w jakim charakterze?”. „W charakterze ministra” – odpowiedziałem. Musiałem się wylegitymować, bo mi nie uwierzył.

W 1991 roku weszliście do Sejmu.

Jako członek partii współrządzącej, która miała raptem 50 posłów, uczestniczyłem głównie w rozmowach. Razem z Kaczyńskim kłóciłem się u Wałęsy, który odmawiał powołania premiera. Pamiętam, że straszył nas jakimiś teczkami i prokuratorem, więc wyszliśmy z Belwederu. Potem znów tygodniami namawiałem Unię Demokratyczną, żeby poparła rząd Olszewskiego! Wszystko to było strasznie frustrujące.

Jaki był Kaczyński jako polityk?

O tym, jaki naprawdę jest Jarek, można się dowiedzieć od ludzi, którzy z nim pracowali. Otóż wszyscy, powtarzam wszyscy, którzy spędzili z nim choć trochę czasu, są Kaczyńskim oczarowani. Nie znam nikogo, kto mówiłby o nim źle...

Jak Andrzej Anusz, prawda?

Rzeczywiście, ale w tym wypadku nie winiłbym jednak Kaczyńskiego. Umówmy się więc, że są nim oczarowani ci, którzy nie musieli rozliczać się z jakichś pieniędzy czy tłumaczyć się z plagiatu pracy magisterskiej.

Również w jego otoczeniu nie wszyscy byli aniołami.

On jest niebywale ufny. Nie mieści mu się w głowie, że ktoś może mieć złe intencje, że gra przyjaciela, a jest oszustem. Niestety, czasem wierzy ludziom, którym nie powinien ufać.

W powszechnym odczuciu Kaczyński jest niesłuchanie podejrzliwy, a pan wstawia mi bajki, że jest ufny i daje się

wykorzystać.

Jego dzisiejsza ostrożność też ma źródło w niegdysiejszej ufności. Jarosław się niepotrzebnie zaprzyjaźnił z niektórymi ludźmi z PC, na tym się sparzył, więc teraz czasem bywa podejrzliwy.

Kogo ma pan na myśli?

Nie chciałbym wymieniać nazwisk, dodawać mu kłopotów, bo ma ich i tak dużo. Spotykał ludzi, którzy później okazywali się niewarci jego przyjaźni. Takich jak Anusz było zresztą więcej. Ludzie zaczęli zdradzać, kiedy Wałęsa po 1993 roku rozpoczął polityczne niszczenie PC.

Pan był w Telegrafie?

Nie. To znaczy byłem w takim sensie, że przyszedł do mnie Maciej Zalewski i powiedział, że zakładamy pismo. Powiedziałem, że dobrze, i on mnie wpisał na jakiegoś członka rady spółki czy czegoś. Raz się odbyło posiedzenie tej rady, ale zaraz potem szczęśliwie mnie wykreślono. Wie pan, my wtedy wszyscy ulegaliśmy złudzeniu, że jeśli ktoś wywodził się z etosu „Solidarności”, to na pewno nie był zdolny do nieuczciwości. Nie było nawyku sprawdzania, co się podpisuje – wierzyliśmy ludziom na słowo.

Dlaczego pan nie kandydował w 1993 roku?

Mam temperament dziennikarza, fatalnie się czułem w Sejmie. Kiedyś wróciłem do domu zupełnie załamany, bo w sali restauracyjnej wszyscy rozmawiali o tym, jaką spółkę założyć, jak zarobić i tak dalej. Ja takich zainteresowań nie mam i nigdy nie miałem. Nie chciałem tam dłużej być.

Wcześniej rozładował pan skandal z Anastazją Potocką.

Na konferencji prasowej wydałem oświadczenie, że pani Potocka była ze mnie zadowolona, a teraz nawet nie raczy mnie wymienić wśród swoich kochanków, bo jestem stary i brzydki.

Nie zaszkodziło to panu?

Ktoś zadzwonił do mojej żony i doniósł jej na mnie. A żona z zimną krwią na to: „A czy pan mnie widział?”. Po paru tygodniach zadzwonił do mnie dziennikarz z telewizji holenderskiej czy belgijskiej, który słyszał piąte przez dziesiąte o sprawie Potockiej. Przyjechał do Warszawy i zrobił ze mną wywiad. Potem dostałem kasetę z materiałem, że w Polsce są skandale erotyczne, a wśród posłów są ludzie tak cyniczni, że się tym szczycą. Dowodem byłem ja.

Kiedy pan poznał Kaczyńskich?

Najpierw przez znajomego lekarza przesłaliśmy do obozu internowanych sweter nieznanemu nam Leszkowi Kaczyńskiemu. Nieco później do antykwariatu, który prowadziłem w stanie wojennym, przyszedł Jarosław Kaczyński. Dopiero po wszystkim dowiedziałem się, że działał w jakimś wydziale politycznym przy kierownictwie „Solidarności”. Dla niego robiłem ekspertyzy, prognozy polityczne i tak zaczęła się nasza współpraca.

Jest pan dowodem, że do Kaczyńskiego trafiali różni ludzie. Pan za komuny robił karierę w Stronnictwie Demokratycznym, satelickiej i służalczej wobec PZPR partii.

W latach 60. wdałem się w działalność w SD, doszedłem do władz wojewódzkich, a później centralnych, gdzie zostałem zastępcą kierownika wydziału informacji i szkolenia, czyli wiceszefem propagandy. Panu jest trudno myśleć tamtymi kategoriami, ale dla mnie rok 1956 to był przełom, który otworzył mi oczy i pokazał, że w komunizmie da się wykorzystywać różnego rodzaju możliwości. Nikt wtedy nie wierzył w obalenie ustroju, ale reformy, osłabianie monopolu partii – tak, to mogło się udać. Tak przecież powstały Kluby Inteligencji Katolickiej, które się w jakiś sposób sprawdziły, i stąd też wziął się mój pomysł, żeby wykorzystać SD jako załączek opozycji wewnątrzkomunistycznej.

Trudno w to uwierzyć. Łatwiej w to, że był pan oportunistą.

Proszę pana, gdybym rzeczywiście tak kalkulował, to bym postąpił tak jak moi koledzy. Mogłem być gwiazdą telewizyjną, mogłem zostać naczelnym jakiegoś pisma. Ale nigdy nie wyszedłem poza szczebel kierownika działu krajowego, bo wyżej nie mogłem wyrosnąć.

Kiedy rzucił pan SD?

O dwóch latach pracy we władzach SD w Warszawie zmieniłem coś tam w uchwale Stronnictwa. Chodziło po prostu o poprawki językowe – jako filolog nie mogłem patrzeć na takie błędy. Na to przerażeni ludzie z mówią: „Kolego, co wy robicie?! Przecież to zostało już zatwierdzone przez wydział organizacyjny KC!”. Wtedy szlag mnie trafił. Niby wiedziałem, że wszystko jest kontrolowane przez PZPR, ale żeby do tego stopnia?! Doszedłem do przekonania, że na dłuższą metę w tych warunkach nie da się nic zrobić i zrezygnowałem z SD.

Wrócił pan do dziennikarstwa.

Tak. Jako dziennikarz debiutowałem w 1957 roku, kiedy wznowiono wydawanie „Tygodnika Powszechnego”. Potem pracowałem w „Dzienniku Zachodnim”, pisałem doktorat i działałem w SD, a od 1972 roku byłem w „Polityce”.

W piśmie Mieczysława Rakowskiego.

Trafiłem tam trochę przypadkiem. Wcześniej, jeszcze będąc w SD, chciałem pomóc kilku osobom z „Polityki”: Aleksandrowi Paszyńskiemu, Andrzejowi Wróblewskiemu, Jerzemu Urbanowi, to był oczywiście wtedy zupełnie inny człowiek.

Miał nawet zakaz pisania pod własnym nazwiskiem.

Często miewał tego rodzaju problemy. Pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy wściekł się na nich Gomułka, zaproponowałem im, że ich przechowam w razie czego w jakimś piśmie SD. Wyszło inaczej – w 1972 r. Wróblewski zaproponował

mi pracę szefa działu krajowego w „Polityce”, w którym była wtedy Wanda Falkowska, Basia Olszewska, Hania Krall, no i sam Wróblewski.

Rozumiem, że podobało się panu w nowej redakcji?

Przynajmniej na początku to środowisko bardzo mi imponowało. To byli ludzie błyskotliwi, świetnie piszący, jak choćby Passent. Z drugiej strony na kilometr jechało od nich bezpieczeńką.

Od wszystkich?!

Od dużej części . Na przykład Henryk Zdanowski, Kazimierz Koźniewski i może jeszcze inni – to byli wręcz ludzie starego UB rzućni na odcinek prasy.

Od Rakowskiego też pan czuł SB?

Rakowski miał mocne poparcie służb specjalnych, podejrzewam, że wojskowych, co mi się raz przydało, kiedy znów przyszli do mnie panowie z SB, aby kolejny raz zachęcać do współpracy. Powiedziałem, że mogę z nimi rozmawiać, ale muszę o tym powiedzieć naczelnemu. Zmyli się w panice i nigdy więcej do mnie już nie wrócili.

Wcześniej miał pan jakieś kontakty z SB?

W 1957 roku, za protesty studenckie po zamknięciu tygodnika „Po prostu” SB założyła mi pierwszą teczkę. Potem ją uzupełniała, a w Warszawie otworzyli mi nową teczkę. Bezpieka towarzyszyła mi wiernie jak pies przez całe życie. Miło wspomnieć, bo akurat w październiku będę obchodził 50-lecie mojej teczki.

A wracając do, jak pan mówi, zinflitrowanej przez SB, „Polityki”

...Wie pan, ja tej politycznej wredoty „Polityki” najpierw nie zauważałem. Zacząłem ją powoli dostrzegać później i zaczęło

mnie to uwierać.

Odszedł pan w 1977 roku.

Po Radomiu i Ursusie „Polityka” puściła reportaż o bohaterskich sprzedawczyniach, które broniły swych sklepów przed plądrowaniem przez chuliganów. Czułem, że dłużej nie wytrzymam i wyniosłem się do „Kultury”, która wtedy miała bardzo dobrą renomę w środowisku warszawskim.

„Polityka” pana brzydziła, ale zdążył pan jeszcze pisać do „Nowych Dróg”, miesięcznika teoretycznego KC PZPR.

Sam się dziwię, że pisałem takie rzeczy, z tą całą frazeologią. Z drugiej strony to było bardzo wpływowe pismo w kręgach rewizjonistów. Pisywał tam Jacek Kalabiński, Wojciech Lamentowicz, nawet Maciek Iłowiecki. Był to czas, kiedy „Nowe Drogi” chciały się pozbyć piętna organu partyjnego betonu. Ale oczywiście żałuję, że tam pisałem. Wtedy jednak trzeba było stawiać na różne opcje. Jedne okazywały się trafne, inne nie.

Co za pochwała oportunistów! Pan tak sobie kalkulował: tu się zaczepię, napiszę do „Nowych Dróg”, ale wstąpię do „Solidarności” i zobaczę, co mnie wyniesie?

No nie! To nie było w tym samym czasie. Od powstania „Solidarności” wszystko już było jasne. Wtedy niczego już nie szukałem – zostałem wiceszefem zakładowej „Solidarności” w Wydawnictwie Współczesnym i tam mnie zastał stan wojenny.

Nie poddał się pan weryfikacji dziennikarzy.

Nie. Wtedy wreszcie byłem już całkowicie dojrzały.

Dał pan znane ogłoszenie o pracę.

Ukazało się w marcu 1982 roku w „Życiu Warszawy”. Napisałem: „Szukam uczciwej pracy. Jacek Maziarski” i numer telefonu. Uważałem, że moje nazwisko jest na tyle znane, że nie muszę nic dodawać. Dostałem kilkaset telefonów. Zgłosił się do mnie

Jerzy Klinger z SDP, który był kolekcjonerem i wiedział o wolnym lokalu. No i tak zacząłem prowadzić antykwariat. Zarabiałem miesięcznie jakieś 16 tysięcy i to nie było źle.

Zmieńmy temat. Pański syn był bardzo aktywnym publicystą „Gazety Wyborczej”, z którą pan się procesował.

Powiedziałem, że powstała za pieniądze przeznaczone dla całej opozycji i mimo że dostarczyłem dowody, sprawę przegrałem. No cóż, takie mieliśmy sądownictwo... Ale na życie rodzinne to nie wpłynęło. Mamy z Wojtkiem różne poglądy, obaj wiemy, że stawia to czasem drugą stronę w kłopotliwej sytuacji. Wolałbym, żeby syn spojrział na rzeczywistość trochę szerzej, ale on zapewne myśli to samo o mnie.

Koledzy z „Tygodnika Solidarność” zrobili kariery. Czabański – prezes radia, Urbański – telewizji. Mówiono, że Pan się załapie do KRRiT.

Trzeba mieć trochę samokrytycyzmu i w pewnej chwili zrezygnować. Ja mam prawie 71 lat i zdrowie już nie to. To nie znaczy, że się dystansuję od PiS, chętnie pomagam radą, ale uważam, że bieganie za posadami w pewnym wieku jest niestosowne. Jestem tłumaczem, siedzę w domu pod Warszawą, za oknem biegają wiewiórki...

Jak się pan czuje, patrząc na twarze dzisiejszego PiS? Przecież pan nie miałby z nimi o czym rozmawiać.

To nie powiązania towarzyskie połączyły mnie z PC i nie ze względów towarzyskich popieram PiS. Z pewnością solidaryzuję się z Jarosławem Kaczyńskim. A że ten pomysł polityczny jest często realizowany przez ludzi, którymi nie jestem zachwycony? Cóż, PiS będzie pracowało z takimi ludźmi, jakich ma. Ta partia nigdy nie będzie pupilką elit i salonów. Oczywiście więcej znajomych mam po drugiej stronie politycznej barykady, ale z ich poglądami nie jest mi po drodze.

Kłóci się pan z nimi?

Dla mnie jest bolesne, gdy ci ludzie powołują się na własną mądrość polityczną i wykpiwają PiS, choć są politycznymi analfabetami. Chciałbym, aby pan napisał to jasno: większość krytyków Kaczyńskiego to polityczni półanalfabeci, salonowe gaduły i pańce, którym podoba się Olechowski, bo ma metr osiemdziesiąt, i niebieskooki Tusk, który trajkoce jak mongolski młynek modlitewny.

Olechowski ma ponad 190 cm, premier trajkoce nie gorzej niż Tusk, a PiS też ma swoje ciotki rewolucji..

Ale ci ludzie z salonu nawet nie dostrzegają, że tylko Kaczyński ma jakąś wizję polityki i przyszłości Polski. I dlatego nie waham się, tak samo jak mój sąsiad z Milanówka Jarosław Marek Rymkiewicz, uznawać go za współczesny odpowiednik Józefa Piłsudskiego. Tego, co już zrobił, nie da się cofnąć – ma zagwarantowane miejsce w historii.

Jacek Maziarski, w latach 70. był dziennikarzem, między innymi „Polityki” i „Kultury”. Z braćmi Kaczyńskimi związał się w latach 80. Razem pracowali w Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”, potem w „Tygodniku Solidarność”, gdzie był zastępcą redaktora naczelnego. Z listy Porozumienia Centrum został posłem pierwszej kadencji. Odszedł z polityki i wrócił do mediów. Był między innymi szefem „Wiadomości” TVP.

„Dziennik”, sobota, 6 października 2007